№ 5 WARSZAWA, DNIA 1 LUTEGO 1913 ROKU ROK III



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

BITWA POD RASZYNEM.

I.

Imć pan Maciej, rybak stary
Co ma domek ponad Wisłą,
Od pół wieku, gdy nie więcej,
Zawarł z rzeką przyjaźń ścisłą.

Imć pan Maciej, rybak stary,
Dziś ma z wodą do czynienia,
Ale dawniej, proszę aści,
Bywał nieraz wśród płomienia.

Imć pan Maciej, rybak stary,
Nie za piecem spędził życie;
Jako właśnie salamandra,
Czuł się w ogniu wyśmienicie.

Imć pan Maciej, rybak stary,
Co nie służył byle komu,
Lubi o tem rozpowiadać
Gdy w Niedzielę siedzi w domu.

II.

W starym domku Maciejowym
Sprzętów w izbach masz niewiele;
Na spróchniałych siedzą zydlach
Jego zacni przyjaciele.

Matka Boska Częstochowska
Patrzy błogo w zmrok niedzielny,
A naprzeciw sam nasz książę,
Ukochany wódz naczelny.



Tapczan w kącie, a ponad nim
Modre czako dawnej wiary,
Szabla, z pochwą w krzyż złożona
I «virtuti militari».

To są skarby Maciejowe,
To są, panie, jego herby —
Dołóż do nich kulę w boku
I w łysinie cztery szczerby.

III.

Imć pan Maciej zaćmił lulkę
Z malowanym Napolionem,
O minionych dobrych czasach
Poufałym gwarzy tonem.

Przypomina wjazd cesarza
Co połowę zdobył świata —
I marszałków pełnych sławy
I Davout'a i Murat'a.

Jak to w zamku bal był wielki,
Jak to rewje potem były,
Jak Francuzy się z naszymi
Pobratały, polubiły.

Aż z kolei Maciej stary
Począł prawić przed kominem
O napadzie Austryjaków
I o bitwie pod Raszynem.

IV.

— Szli my sobie, mości panie,
Na tę bitwę, jak na gody!
Wśród szeregów dawna wiara
A gdzieniegdzie żołnierz młody.

Młody żołnierz, ale z oczu
Zuchowatość bije zdala:
Wrazby skoczył w bój zawzięty,
Tylko książę nie pozwala!

A nasz książę, w takt muzyki
Na kasztanku sadzi susy,
Aż radują się w szeregach
I mazury i krakusy!

Że wśród zabaw duch nie zgnuśniał,
Wnet okaże dzielnym czynem;
A już błyska krzyż złocisty
Na kościołku pod Raszynem.

V.

Hej! zagrały armat paszcze,
Zahuczały karabiny —
Nad raszyńską okolicą
Płachtą dym się kłębi siny.

Tęgo walą Austryacy
Ale nasi lepiej przecie;
Warczą bębny, grają trąbki,
Śmierć skrwawioną kosą miecie...

Lecą kule gdyby osy,
Kogo trafią, już nie wstanie:
Padł Godebski, chwacki żołnierz,
Światłość wieczną daj mu, Panie!

Padł Godebski, chwacki żołnierz,
Płaczą jego grenadjery,
A umierał tak odważnie
Jako dawne bohatery!

VI.

Tam! — zerwała się konnica
I gna na nas, jak szalona —
To węgierskie mkną huzary,
Ćma zielona i czerwona!

Z szablicami wzniesionemi
Pędzą naprzód, co koń skoczy.
Sterczą groźnie długie wąsy
I płomienne błyszczą oczy!

Porwie książę za karabin,
I kasztanka luzem puszcza
Sam odeprze węgrów szarżę —
A już blizka owa tłuszcza.

Setki strzałów zahuczały,
Dym się wokół rozszedł szary,
Lecz nim opadł — już w nieładzie
Cwałowały wstecz huzary!

VII.

I wygralim bataliją, —
Aż się dotąd śmieje dusza,
Gdy przypomnę, jak to pluder
Jak niepyszny nazad rusza!

I wygralim bataliją —
Dzień to, panie, wielkiej sławy!
Ze śpiewaniem i muzyką
Wraca wojsko do Warszawy.

A lud wyległ na ulice
I naprzeciw z krzykiem bieży,
Woła chórem: «Cześć walecznym!»
Rzuca kwiaty na żołnierzy.

A nasz książę na kasztanku
Uśmiechnięty naprzód kroczy,
I wąsika wciąż pokręca
W dal promienne patrzą oczy...

Or-Ot.

Książę Józef Poniatowski.

Ciąg dalszy.

Boleśnie dotknęło księcia to, że on, niedawno jeszcze naczelnik wojsk polskich, został zupełnie pominięty w dokonywanem dziele, usunięty jakby poza nawias narodu; jednak mimo obrażonej ambicji, pośpieszył natychmiast do kraju, gdzie walczył w oblężonej przez Prusaków Warszawie, niezbyt jednak szczęśliwie. A że opinja publiczna zwracała się przeciwko Stanisławowi Augustowi, a stąd i przeciw całej rodzinie Poniatowskich, ks. Józef znosił wiele zarzutów i oskarżeń niesłusznych.

Następujące po sobie wypadki, detronizacja króla, trzeci rozbiór i t. d., usunęły Poniatowskiego zupełnie z życia politycznego. Mieszkając w pruskiej wówczas Warszawie, po śmierci Stanisława Augusta odziedziczył ciężką do załatwienia misję uregulowania spraw majątkowych królewskich, co go bardzo absorbowało a przedewszystkiem przykuwało do miejsca.

W okresie tym książę Józef nie brał zupełnie udziału w życiu politycznem. Przebywając naprzemian to w swoim pałacu „Pod Blachą", to w Jabłonnej, spędzał życie na zabawach dość zresztą monotonnych, w otoczeniu przeważnie emigrantów francuskich, którzy podczas burzliwych czasów chronili się chętnie do Polski.

Z długiej bezczynności obudziły ks. Józefa odgłosy, coraz głośniej i potężniej dochodzące do Polski, epopei napoleońskiej. Legjony polskie, o których waleczności cuda rozpowiadano, nazwiska Dąbrowskiego, Zajączka, Kniaziewicza, przebiegające z ust do ust, wielkie zwycięstwa Napoleona, wszystko to wytworzyło sytuację, pełną oczekiwania i nadziei.

Wówczas to wypływa znowu na arenę publiczną ks. Józef i już aż do końca swego życia ani na chwilę nie przestaje walczyć w obronie ojczyzny, występując zawsze jako człowiek honoru i poświęcenia.

Po zwycięzeniu Prusaków pod Jeną, Francuzi, pod wodzą Murata, wkroczyli do Warszawy, opuszczonej przez Prusaków. Ks. Józef został przywrócony do rangi generał-lejtnanta, jaką posiadał w dawnej Rzpltej z poleceniem objęcia komendy siły zbrojnej polskiej i zajęcia się jej organizacją w prowincjach, gdzie to jeszcze nie zostało uskutecznione.

W krótkim czasie ks. Józef staje przed Napoleonem i tam z wielką znajomością sytuacji politycznej, przedstawia żądania narodu polskiego. Przedewszystkiem zaś żąda rękojmi, iż cesarz Napoleon przywróci niepodległość Polsce. Cesarz mimo wielu głosów, przeciwnych ks. Poniatowskiemu, ze zwykłą sobie przenikliwością wyczuł w księciu człowieka, który wielkie

zasługi oddać może i jemu i Polsce, zatwierdził go na urzędzie i mianował jednym z siedmiu Dyrektorów Komisji Rządzącej, ustanowionej przez Napoleona, jako rząd tymczasowy dzielnic zdobytych na Prusiech. Książę został dyrektorem wojny.

„Na stanowisku tym miał trudów co niemiara. Wszystko trzeba było robić naraz, wszystko nanowo, z niczego, wszystko w pośpiechu największym, pośrodku trwającej kampanji i dla natychmiastowego w niej użycia. Należało urządzić nasamprzód departament wojny, ułożyć etat wojska, załatwić sprawy żołdu, żywności, kwaterunku, uzbrojenia, remontu, sądownictwa i policji wojskowej, szpitali i służby zdrowia i t. p.; trzeba było myśleć jednocześnie o potrzebach tworzonego wojska polskiego i naglących wymaganiach czynnej armji francuskiej *).

Po za ciężką pracą, znosić musiał Poniatowski wiele przykrości, których głównym twórcą był wróg osobisty księcia, generał Zajączek. Opinja publiczna w znacznej części też była przeciwną ks. Józefowi. Przedewszystkiem większość wolałaby widzieć na stanowisku dyrektora wojennego—generała Dąbrowskiego, wsławionego tylu walecznymi czynami z okresu legjonów; zapomniano też ks. Józefa jako zwycięskiego wodza z pod Zieleniec w kampanji 1792 roku, a pamiętano niefortunne występy w obronie Warszawy przeciw Prusakom, nadewszystko zaś nie zapomniano, iż jest to synowiec nieszczęsnego Stanisława Augusta, którego panowanie tyle nieszczęść na Polskę ściągnęło.

Kampanja przeciwko Rosji i Prusom w r. 1806 została wreszcie zakończona świetnem zwycięstwem pod Friedlandem; na zjeździe monarchów w Tylży ustanowiono stworzenie Księstwa Warszawskiego pod berłem Fryderyka Augusta, króla saskiego.

Ks. Józef został w nowo-utworzonem księstwie ministrem wojny i naczelnikiem siły zbrojnej, lecz nie mógł nic poczynać samodzielnie, będąc pod wodzą marszałka Davout'a, który otrzymał „pierwszą komendę" w Księstwie Warszawskiem nad wojskiem francuskiem, saskiem i polskiem bez żadnej różnicy, dowództwo nad twierdzami, artylerją, inżynierją, administracją i t. d.

Na tem odpowiedzialnem i ciężkiem stanowisku musiał ks. Józef walczyć z wielu trudnościami, szczególniej gdy chodziło o środki materjalne dla organizowania i utrzymywania wojska.

Tymczasem następują wypadki z roku 1809; wojsko austryjackie pod wodzą arcyksięcia Ferdynanda wkroczyło w granice Księstwa Warszawskiego, zupełnie do wojny nieprzygotowanego. Ks. Józef, który rozporządzał wówczas armją, liczącą zaledwie od 15 do 16 tysięcy żołnierza, wydał odezwy do narodu, wzywające do pospolitego ruszenia, polecił naprawiać szańce i fortyfikacje, sam zaś zajął z wojskiem pozycję nad rzeką Rawką, niedaleko Warszawy, pod Raszynem.

Gdy nieprzyjaciel się zbliżył, rozpoczęła się bitwa, dn. 19 kwietnia i mimo znacznie słabszych sił polskich, Austryjacy zdobyć pozycji nie mogli. Ks. Józef stał na czele swoich pułków i z bagnetem w ręku wiódł je do boju.

„Bój straszny, zajadły... Migały w dymie wyciory, głowy kanonierów w rogatych czapkach, obsługujących działa, złote hafty i akselbanty oficerów w zielonych mundurach, drągi, uzbrojenia i ognie.

Od huku nastał w uszach jednostajny dźwięk, jakby człowiek latał w rozkołysanym dzwonie. Bałwany dymu gęstniały wciąż, stały się z niebieskich bure, pełne

---

*) Szymon Askenazy. Książę Józef Poniatowski, str. 109.

sadzy prochowej, która dusiła i wyjadała oczy...

Ludzie walili się co chwila, kule rżnęły, jak grad...

Z pomiędzy drzew wynurzali się żołnierze o twarzach bladych, z wystraszonymi oczami. Zwartym szeregiem ile było można wśród drzew walili naprzód...

Wtem od strony Raszyna pędem nadciągnął hufiec jezdny. Przewodniczył mu ks. Józef. Mierzył on rozgromiony bataljon ognistemi oczami. Żołnierze, widząc go, poczęli się opamiętywać, jako tako formować i zwracać ku olszynie. Wódz zsiadł z konia i stanął pośród nich. Od pierwszego z brzegu wziął z rąk karabin i zawołał:

— Za mną, bracia!

Żołnierze wydarli się masą z gęstego błota i ruszyli, jak jeden. Wpadli na piechurów austryackich z pasją, ze wściekłością, z szaleństwem, tak nagle, jakby wyrośli z ziemi, czy wypadli z zasadzki.

Książę szedł w szeregu, walcząc jak prosty żołnierz. Nigdy pasja bojowa nie była wścieklejsza! pierwsze szeregi austryackie wgniotły się w następujące i wdeptywały je w bagno. Nie było miejsca na bitwę. Kto był na placu musiał ginąć. W kilka chwil lasek olszowy został zdobyty aż do wioski *).

W bitwie tej padł Cyprjan Godebski, dawny legjonista, żołnierz i poeta, broniąc na czele pułku ósmego wsi Falenty.

Mimo, że wojska austryjackiego nie mogły przełamać bohaterskich pułków polskich, ks. Józef i inni oficerowie widzieli niemożliwość dalszej obrony i po złożeniu rady wojennej cofnęli się do Warszawy.

Stefan Żeromski «Popioły».

(D. c. n.)

POGOŃ NAOKOŁO ZIEMI

OPOWIADANIE WSPÓŁCZESNE

opracował J. Szczawińsk.

Ciąg dalszy

Zaledwie pociąg znalazł się w obrębie rzeki Rio Grande, znów ukazały się nowe obrazy. Na stacjach ukazywały się jakieś osobliwe postacie: brunatni mężczyźni z długiemi włosami, o miękkich, prawie kobiecych rysach, odziani w jaskrawe chusty, obok znów kobiety i dziewczęta w podobnych strojach sprzedawały śliczne gliniane dzbanuszki i różne plecionki z kolorowej słomy. Byli to Indjanie plemienia Nawaha, którzy w tej okolicy mieli swe rezerwacje *).

---

*) Rezerwacje — przestrzenie, zapewnione przez rząd Stanów Zjednocz. dla krajowców czerwonoskórych.

Następnej nocy przejechano stan Arizona, a Chmurzyński marzył właśnie o cudach wybrzeży oceanu Spokojnego, gdy silnie szarpnięty, ocknął się i ujrzał przed sobą Monsarda.

— Co się stało? — pytał, przecierając oczy.

— Gonzales poznał pana—odparł przyciszonym głosem. — Stało się to prawdopodobnie przed godziną na stacji Flagstaff; od tej chwili zauważyłem, że jest niespokojny i zmieniony. Widziałem, jak za portjerą swego łóżka pakował rzeczy: jestem pewny, że ma zamiar na następnej stacji umknąć. Teraz już napewno domyśla się wszystkiego.

— W takim razie ja też wysiądę!—zawołał Jan i zerwał się na równe nogi. — Nie dam mu się wymknąć; niech tylko wysiądzie, zaraz go schwycę!

— Ja również jestem tego zdania—odpowiedział Monsard.—Za pół godziny staniemy na stacji Williams. Niech pan spakuje rzeczy, ja uczynię to samo. Udam, że śpię, a gdy tylko Gonzales wysiądzie, pójdę w ślad za nim i dam panu znać.

Przypuszczenia przyjaciół sprawdziły się w zupełności. Meksykańczyk poznał na poprzedniej stacji Chmurzyńskiego. Zaraz się też domyślił, że Monsard gra komedję i jest w porozumieniu z inżynierem.

Po północy pociąg zatrzymał się na małej stacji Williams, skąd poboczna kolej prowadziła do wielkiego wąwozu Colorado—Kanjon. Zaledwie pociąg zatrzymał się na stacji, Karol Monsard, wyglądając z poza portjery swego okna, widział, jak Gonzales, zupełnie ubrany, ostrożnie opuścił przedział i wkrótce wyskoczył z wagonu. Monsard w mgnieniu oka schwycił swoją walizkę, krzyknął na przyjaciela, znajdującego się w sąsiednim wagonie i obaj wyskoczyli.

Znalazłszy się na peronie, napróżno rozglądali się na wszystkie strony. Mogłoby się zdawać, że Meksykańczyk zapadł się pod ziemię. Dwaj urzędnicy, pełniący na stacji służbę, mogli tyle tylko objaśnić, że widzieli dwóch śpiesznie idących młodzieńców, lecz wkrótce zniknęli im w ciemnościach z oczu.

Chmurzyński i Monsard mieli przeciągnięte miny. Nie liczyli się bowiem z przebiegłością Gonzalesa, jak również z okolicznością, że w tej dzikiej okolicy o tak późnej porze, nie można puszczać się w pogoń bez narażenia się na poważne niebezpieczeństwo. Tymczasem pociąg odszedł, zostawiając zakłopotanych przyjaciół.

Karol Monsard odzyskał wszakże prędko dobry humor.

— Kiedy tu już jesteśmy — powiedział wesoło — musimy przynajmniej poszukać sobie noclegu. Może jutro powiedzie się nam lepiej. Gotów jestem założyć się, że nie pożałuje pan tego improwizowanego pobytu; jutro ujrzymy największy cud świata w całym swym majestacie: wielki Colorado Kanjon *).

Gościnny naczelnik stacji zabrał do siebie zapóźnionych gości na noc i wkrótce obaj zasnęli snem błogim.

ROZDZIAŁ IV.

Ferma Mistrza Wilka.

— Cóż dalej robimy? — zapytał Jan, przebudziwszy się nazajutrz.

— Trzeba rozważyć wszystko. Bardzo być może — rzekł Monsard — że Alfons ukrył się w najbliższej fermie. Przypominam sobie, jak mi kiedyś mówił, że tu właśnie osiedlił się jakiś krewny jego i że dość często u niego bawił. Ponieważ

*) Kanjon – głęboki jar, wyżłobiony przez rzekę, w Ameryce Północnej

w tej mało zaludnionej okolicy jeden drugiego zna. nie będzie więc trudno odnaleźć kryjówkę Gonzalesa. Dziś zaś proponowałbym wycieczkę do Kanjonu; przy sposobności możemy zasięgnąć potrzebnych wiadomości.



Chmurzyński zgodził się na propozycję przyjaciela; wkrótce siedzieli obydwaj w wagonie pociągu, prowadzącego do olbrzymiego wąwozu. Nic jednak w otoczeniu nie zapowiadało, że zbliżano się do najwspanialszych na ziemi pokładów gruntu. Monotonne prerja i skaliste wzgórza ciągnęły się naprzemian. Gdzieniegdzie spotykano strażnice i zagrody, obok nich niewielkie stada bydła, które pod dozorem konnych Cowboy'ów, szukały sobie pożywienia na tym spragnionym gruncie.

Pociąg zbliżał się właśnie do małej fermy, gdy nagle zahamowany nadzwyczajną siłą, stanął. Przerażeni podróżni rzucili się do okien, pytając, co się stało.

Prowadzący pociąg wskazywał na wschód, gdzie na horyzoncie leżała ciemna, prawie czarna, olbrzymia chmura i z nadzwyczajną szybkością rozszerzała się na niebie.

— Tornado*) się zbliża! — zawołał — trzeba szukać schroniska!

Przerażony i zdziwiony Jan spojrzał na swych towarzyszy. Słyszał wprawdzie o gwałtownych burzach wirowych, które nawiedzają często środkowe Stany Zjednoczone i z nieprzepartą, wprost bajeczną siłą niszczą wszystko, co spotykają na swej drodze. Lecz nieprawdopodobnem

*) Tornado—hiszpańska nazwa cyklonu.

zdawało mu się, aby przy tak głębokim spokoju, jaki panował w całej naturze, można było spodziewać się takiej katastrofy.

— Prowadzący pociąg ma rację — rzekł Monsard i z obawą spojrzał na coraz szybciej zbliżającą się chmurę.

— Prędzej, prędzej! — wołał na przyjaciela i resztę ociągających się pasażerów. Wagony nie są wcale bezpiecznem schroniskiem: jestem pewny, że tam w fermie, jak prawie we wszystkich w tym kraju, musi być podziemna kryjówka na wypadek cyklonu.

Skończywszy te słowa, Monsard udał się śpiesznie do fermy. Jan wraz z nielicznymi podróżnymi również podążył za nim, jakkolwiek ostrożność przyjaciela wydała mu się przesadną, albowiem nie wierzył, że katastrofa może nastąpić tak prędko.

Przekonał się jednak wkrótce, że obawy oficera były uzasadnione. Zaledwie gromadka podróżnych przybyła do fermy, skąd z daleka już nawoływał ich fermer, gdy Jan spostrzegł, jak z chmury, która zdążyła już zasłonić pół nieba, jakieś wężowate, podobne do lekko zakrzywionej trąby słonia, straszne zjawisko, sięgające do ziemi, z nadzwyczajną szybkością poruszało się w kierunku fermy.

— Prędzej, prędzej, nie ma ani chwili czasu do stracenia! — wołał fermer, zapędzając przybyłych na podwórze do drzwi, które prowadziły do podziemnej kryjówki.

Wystraszeni ludzie szybko zbiegli po drabince do podziemia, ostatni zaś wszedł gospodarz, zatrzaskując za sobą mocno drzwi.

Rzeczywiście, był już najwyższy czas; po chwili wirująca trąba wtargnęła na podwórze. Potworny, ogłuszający huk zagrzmiał silniej, niż grzmot podczas nawałnicy; zdawało się, że sklepienie podziemia zadrżało. Nikt wśród stłoczonych w ciemnej wązkiej kryjówce, nie wątpił, że ferma jest zupełnie zniszczona i że wyszedłszy, znajdą tylko garstkę gruzów.

Milcząc, bez ruchu, w strasznem oczekiwaniu, stali bezradni, oszołomieni siłą żywiołu, wobec którego człowiek wydaje się nikłym robakiem. Burza trwała zaledwie kilka minut, a huk grzmotów stopniowo cichł.

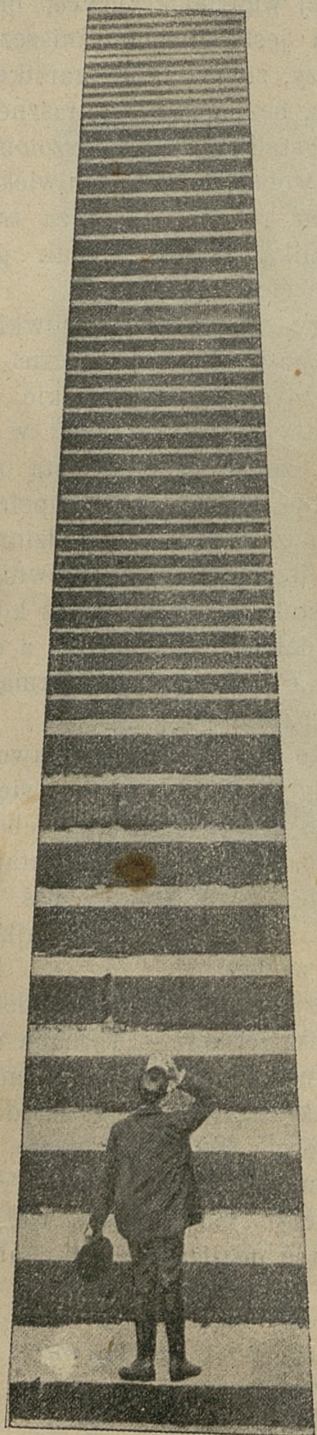
Pierwszy wyszedł z kryjówki fermer, za nim postępowała nieliczna gromadka podróżnych. Jakże wielkie było ich zdumienie, kiedy ujrzeli w świetle dziennem zupełnie nietkniętą strażnicę. Tylko część parkanu była zupełnie zniszczona, a pozostałe w ziemi dziury świadczyły o jego istnieniu. Również kilka drzew zostało wyrzuconych z korzeniami i gdzieś daleko uniesionych, a o znajdujący się na podwórzu pal formalnie owinął się wóz fermera.

— Jakto być może? — zawołał Jan, podczas gdy inni przyglądali się miejscu katastrofy, a wypogodzone niebo rzucało znów radosne promienie. — Tutaj zupełne zniszczenie, kilka kroków zaś dalej ani śladu katastrofy, jakgdyby najlżejszy zefirek nie zawiał!

— To zjawisko jest u nas dobrze znane — rzekł fermer. — Tornado ma ściśle ograniczony obręb rozprzestrzenienia się. Gdyby tak zagroda moja znajdowała się o dwadzieścia metrów na prawo, to jużby po niej ani śladu nie zostało. Trzeba jednak zobaczyć, moi panowie, co się stało z waszym pociągiem?

(D. c. n.).

Ile schodów?



Przebiegając szybko schody nie zastanawiacie się zapewne nigdy, ile pięter robicie w przeciągu np. roku. Najczęściej powiecie sobie czasami, gdy ilość schodów, jakie któregoś dnia musieliście przebyć, wydaje się wam dużą: dziś tyle a tyle pięter zrobiłem.

A gdybyśmy tak w przybliżeniu chcieli obliczyć i przedstawić sobie, jakiej wysokości wieżę przebywamy w przeciągu całego życia? Naturalnie wziąć trzeba przeciętnego mieszkańca dużego miasta. Przypuśćmy, że ktoś mieszka na drugiem piętrze; wychodząc dwa razy dziennie, robi obowiązkowo cztery piętra. Dwa w szkole, biurze, u znajomych, na koncercie lub w teatrze. Liczmy na to tylko trzy piętra. Czyni to razem 7 pięter. Bierzemy liczbę przeciętną, gdyż są ludzie, mieszkający na trzeciem lub czwartem piętrze, są różne zajęcia, wymagające kilkakrotnego schodzenia i wchodzenia po piętrach, np. nauczycielki, listonosze, służba domowa, chłopcy na posyłki i t. d.

Ci ludzie odbywają z konieczności wędrówki po 15, 20 a nieraz i więcej piętrach. Bierzemy jednak przeciętną liczbę 7 pięter. Każde piętro ma 24 schody, za każdy więc dzień obliczamy 168 schodów. W ciągu roku, czyli w ciągu 365 dni uczyni 61320 schodów. Przypuśćmy, że taką wędrówkę odbywać będzie człowiek przez 60 lat, da nam to sporą liczbę — 3,679,200!



Ilość mięsa zjadanego przeciętnie w ciągu życia, — przedstawiona proporcjonalnie do wielkości człowieka.

JAN POWALSKI.

W GRODZIE ŻAKÓW.

Po drodze.

Dwóch żaków wędrowało do Krakowa na naukę, spotkali się w drodze i szli razem. Na plecach każdy miał tobołek, a u boku schowany nóż, do obrony w podróży. A jeśli nawet i bronićby się nie zdarzyło przed nikim, to i tak nóż mieć musiał każdy, bo cóżby to był za żak bez noża? Prędzej obszedłby się bez pióra, kałamarza i książki, ale bez noża—nigdy.

Szli z daleka, i różnie im się w drodze działo. Tam ich podwieziono, tam zaproszono na chrzciny albo na pogrzeb, by śpiewali. W samym Radomiu wziął ich na swój wóz kupiec, kuśnierz—i podwiózł ich aż do Iłży borami. Stamtąd szli dalej na piechotę.

Była wiosna, kwiecień, cały kraj pojaśniał od zieloności młodziutkiej, świeżej. Wszędzie po łąkach wykwitły, jak żar, kwiaty niezliczone. Skowronki śpiewały,

lasy trzęsły się od ptasiej wrzawy, od kukania kukułek, gruchania, gwizdów, kląskań, szczebiotu. Wyszli żacy na przestronne pola, zieleniejące od młodych posiewów. Wywiodła ich droga na wzgórek, gdzie stało parę lip, całych zielonych w wiotkich, młodych liściach. Stamtąd widać było kawał kraju wokół, modrzejące lasy, pola, łąki, zaściełające łagodne pagórki małopolskie.

Ale spostrzegli, że zaraz niżej ich droga się rozdwaja: jedna w prawo, druga w lewo.

— Pietrku, bracie, a teraz co? — spytał wyższy z dwóch z litewskiego pogranicza pochodzący, rosły, niebieskooki.

— Na dwoje babka wróży — rzekł Pietrek.

— Ty się bracie z babami nie wódź — odparł litwin. — Kędy to nam iść teraz?

— Rozmyślaj-że, Stachu, dobrze — rzekł Pietrek, siadając — może przecież dojdziesz swego. Ja na cię poczekam.

— Siadasz? — spytał Stach — nie chcesz iść dalej?

— A którędy? — rzekł Pietrek. — Taka dobra jedna droga jako i druga. Bądźże tu mądry! W Katonie tego niema, ani u Petra Hispana, jeno u kogoniebądź z tutejszych w głowie; byle ino przeszedł tędy, dowiemy się od jednego słowa. Tedy czekać!

To mówiąc żak Pietrek rozwiązywał swoje zawiniątko, dobył chleb, dobył nóż, i posilał się, odkrawając małe kawałki uważnie, aby nie kruszyć.

Stach nie słuchał z przezorności, bo wiedział już, że Pietrek lubi prawić, a często powie coś przykrego.

Oparł się o drzewo plecami, i patrzył hen, w kraj daleki, rad z tego przypadkowego wypoczynku.

— No i cóż? — spytał Pietrek po chwili. — Jasno ci już wszystko?

— E! — rzekł Litwin. — Ty bracie kpisz, a tu wiosna...

Przyszedł i siadł obok Pietrka. Wydobył swój chleb i począł jeść, opędzając muchy, które mu się naprzykrzały i siadały na chlebie.

— Ha! — zawołał Pietrek wstając — video chłopem! Wnet dowiemy się.

Chłop jechał na koniu, z wiśniowym prętem w ręku. Koń kopał się w piasku drogą pod górę, ku lipom. Gdy się dobrał na wierzch pod lipy, jeździec stanął, ujrzawszy obcych.

— Którędy droga do Krakowa? — spytał Pietrek.

Chłop się zadziwił, obejrzał się na obie drogi, jakby je pierwszy raz widział.

— Do Krakowa? Jedna owo ku Iwaniskom, a druga do Opatowa... A wy kędy idziecie?

— Do Krakowa. Którędy bliżej?

— Ba! — rzekł jeździec, namyśliwszy się — żeby tak na mnie, tobym se poszedł w lewo, bo jest stąd niedaleko karczma bardzo dobra w Sulisławowie...

— A na tamtej drodze? — spytał Stach.

— Tam? Tam karczmy niema, ino jacy w trzeciej wsi... A tak, ino piach.

I ruszył dalej, trąciwszy konia witką.

— Widzisz, Stachu — rzekł Pietrek, zarzucając swój węzełek na plecy — w lewo karczma, w prawo piach. Queritur, gdzie Kraków?

— Ja — odrzekł Litwin — przespałbym tu odrobinę. Samo południe. Mówiłeś, czekać i czekać. A teraz cię przypiliło!

— Cóż wyczekamy? Z tego, co mi ten pachołek powiedział, widzi mi się, że niezbyt zboczymy, czy tędy, czy tamtędy pójdziemy. Nuże, nuże! Wstawaj, dość spoczywać! Przyjdziem do Krakowa, będziesz spał.

— Nie — rzekł Stach, podpierając się na łokciu w trawie. — Nie żal ci to tak porzucać tych lip, tego szemrzenia? Lipy

śpiewają ci nad głową, słonko cię przygrzewa, kwiatki rosną, trawa...

Pietrek słuchał, poprawiając rzemienie u trepek, aż skończył, podniósł swój kij z ziemi i powiedział, kpiąc:

— Toś się rozrzewnił, Stachu, nieboże, by cielę do łąki!

— Wiosno ty, wiosno!—westchnął Stach.

— Pójdź!—rzekł Pietrek. — Pójdź! Jak od rana zaczniemy spoczywać, to cały dzień zmarnujemy.

Stach się dźwignął, pozbierał rzeczy, i ruszyli dalej, drogą na lewo, ku lasom niedalekim.

— Nic nie masz, coby było jako wiosna—mówił Stach.—Ani lato... choć bywa i lato takie, we żniwa... ani jesień... choć i jesień, prawdę rzec, jak te lasy zżółkną, zczerwienieją...

— Sady u was są? — spytał Pietrek z zajęciem.

— Jakżeś myślał? — odparł Stach dotknięty.—Jabłka, gruszki, śliwki...

— Wszędzie jednako—rzekł Pietrek. — Ale mówią, że w nowym świecie, za morzami, cud, jakie drzewa i co rodzą! Są takie, co mają strąki, by groch. Jak dojrzeje, spada toto na ziemię i pęka z takim ci hukiem, jakby ci działo strzeliło.

— Kto ci to mówił?

— Jeden z Krakowa. Ptaki też tam mają ludzkie głosy, a pióra niczem kwiaty. I małpy chodzą, przechadzają się, by ludzie... Mają miasto, króla...

— E!—rzekł Stach z niedowierzaniem.

— Nie wierzysz? — spytał zapalczywie Pietrek.

— Wierzę... no, wierzę... Albom to widział sam, że ich niema, bym mógł nie wierzyć? A co ci ten z Krakowa powiadał o żakach?

— Nożów nie wolno mieć ani nosić...

— Prawda?

— By i sto razy zakazali, tedy ja swego nie oddam—odrzekł Pietrek.

— Ani ja. I co jeszcze?

— Jeszcze... Po łacinie ino ciągle gadać trzeba, cały dzień, aż do wieczora.

— Jak? — spytał Stach—i żebrząc?

— Ktoby zrozumiał? W bursie i tylo.

Weszli tymczasem w las, już cienisty, wonny, szumiący, pełen głosów.

— Ej! — odezwał się Stach, gdy szli długo, słuchając leśnego grania.—Wykręcę fujarkę, nie wydzierżę!

— A zanocujem w lesie — rzekł Pietrek. — Iść nam trzeba, a raźno!

Nagle posłyszeli trzask gałęzi i żwawe kroki. Odrazu obaj usunęli się w zarośla, które jako tako ich skryły, i czekali.

Z lasu wybiegł na drogę młody chłopiec z gołą głową, dosyć dobrze odziany, zdyszany, rozpędzony, zwinny.

Przystanął, spojrzał w prawo i w lewo, czy droga pusta, przesadził ją jednym susem i znikł w lesie.

Poczekali jeszcze chwilę. Gdy nic więcej nie było słychać, ruszyli dalej.

— Kto to był? — rzekł Stach.

— Człowiek jako my — odpowiedział Pietrek. — Cóż mu się dziwujesz?

— A ty nie?

— Niema czasu—odparł Pietrek, który się zadumał, idąc.

Wydawało się, że ciekawość nie ma do niego przystępu, gdy pomyślał, że każdy krok na piaszczystej drodze poprzez kraj zielony zbliża go nieustannie do wielkich przeznaczeń, do zdobycia wszelkiej mądrości ludzkiej w akademji i wszystkich dostojeństw później, między wielkimi tego świata.

Jak rycerze noszą swoje godła na tarczy i szyszaku, tak żak Pietrek nosił wielką dumę i pewność przyszłej dostojności w swojem młodem sercu. Ile razy zadzwonił w nią myślą, otrząsał się jak z kurzu, ze wszystkiego, co nanosiło trudne życie na jego nadzieje. Ogarniało go wtedy męstwo niezwalczone, gorączka tętniała

we krwi, zdobyć, dojść, nie ustępować niczem nikomu! Być najdzielniejszym, najszym, najwspanialszym! Okrywało go nędzne odzienie zakurzone drogą, spełzłe od słońca i deszczu, ubogi tobołek kołysał się na plecach, ale duszę wypełniała po brzegi olśniewająca wspaniałość. Wtedy rozjaśniało mu się serce od dobroci: bronić słabych, skrzywdzonych! Wtedy twardniały mu myśli od surowości, karać złych! oddać każdemu, co mu się należy. I wzbierał cały nieubłaganą sprawiedliwością, dostojną, jasną jak słońce.

(D. c. n.).

Z ŻYCIA HARCERZY POLSKICH.

Szkic przez Edmunda Jezierskiego.

WSTĘP.

Zapoczątkowany przez generała angielskiego Baden-Powella skautyzm, przyjął się i rozpowszechnił nie tylko w Anglji, ale i w całej Europie, między innymi zaś i u nas...

Zasady i cele skautyzmu wyłożyliśmy już czytelnikom naszym w opowieści p. t. „Wywiadowca", drukowanej w przeciągu dwóch lat poprzednich.

W organizacjach gimnastycznych szkół polskich skautyzm przyjęty został bardzo chętnie, i znalazł szerokie zastosowanie, w szeregu praktycznych ćwiczeń i zabaw.

Rozległy się, coprawda, pojedyńcze głosy protestów, przeciwko niektórym zasadom jego, przeciwnym naturze polaków i niemożebnym do zastosowania na naszym gruncie, i w naszych warunkach.

Odrzucono też je. Zmieniono formę i treść niektórych ćwiczeń i nauk i skautyzm rozwija się pomyślnie.

Rozległy się również energiczne głosy przeciwko samej nazwie: skaut, jako obcej zupełnie językowi polskiemu. Proponowano cały szereg innych nazw, z których utrzymały się dwie: wywiadowca i harcerz.

Pierwsza z nich oznacza równolegle zajęcie, z którem nigdy sympatyzować nie będzie prawy polak, które wstrętem przejmuje każdego.

Pozostaje zatem nazwa druga, ukuta przez drużyny skautowe w Galicji, i najlepiej odpowiadająca duchowi młodzieży polskiej.

Bo harcerstwo dla polaków nie jest nowością. Na tysiąc lat nieomal przed wynalezieniem go przez Baden Powella, każdy młody polak należał do wielkiego bractwa, które za święte zadanie swoje miało obronę ojczyzny i miłość jej bezgraniczną.

Toż życie każdego prawie Polaka upływało w ustawicznych walkach z otaczającymi Polskę wrogami: to z Niemcem, to z Tatarem, to z Turczynem, to Moskwicinem, to z Szwedem i innymi...

O ile tylko wstecz można w dziejach sięgnąć pamięcią, widzimy wieczne i ciągłe boje i walki, za wiarę i ojczyznę...

Wszakże nie dawno zwano Polskę — przedmurzem chrześcijaństwa. Wszakże nie darmo krążyły o niej wieści, że zie-

mia w niej święta, gdyż krwią bohaterów przesiąkła na wskroś, że wystarczy tylko ścisnąć w dłoni garść ziemi polskiej, by krew z niej pociekła...

Od legendarnych czasów aż po ostatnie, przed pięćdziesięciu laty, walczyli Polacy bohatersko, a młodzież szła na czele.

Nie dziwota też, że w warunkach takich kwitł w młodzieży duch rycerski, że wpierw niż czytać, umiał polak szablą władać i koniem toczyć.

Rycerstwo polskie tworzyło jakby zakon, w którem surowo przestrzegane były przykazania obecne harcerzy.

Harcerzem był każdy z polaków, gdyż śmiało szedł na harc z wrogiem, by życie dać za ojczyznę... za umiłowane ideały...

Przecudny obraz takiego gniazda rycerskiego—klasztoru, w którym święcie przechowywane były przykazania harcerzy dał nam J. I. Kraszewski w powieści swej „Tułacze".

Takich dworów jak Skała, i takich rodów, jak Plutowie, wiele było rozsianych po całym obszarze dawnej Rzeczpospolitej...

Zresztą i kroniki dawne, opisujące wychowanie młodzieży polskiej, wyraziście malują nam obraz dawnego harcerstwa, przykazania jego i zasady, tak mało różne od skautyzmu, niedawno wynalezionego przez gen. Baden-Powella.

Nie jest więc harcerstwo nowością dla Polaków. Od wielu, wielu lat stosowali je oni w praktyce. Dopiero gdy dzięki różnym wpływom zasady harcerstwa chwiać się poczęły wśród młodzieży polskiej, gdy zapomniano o nich, wtedy również zachwiała się budowa Rzeczpospolitej, i runął gmach jej cały.

Lecz i w chwili największego upadku, jawiły się wśród polaków przebłyski dawnego rycerstwa. Dowodem legjony... Somo Sierra... Raszyn... a i późniejsze walki...

Czyż wreszcie nie jest przepięknym typem harcerza polskiego wiekopomna, bohaterska postać ks. Józefa Poniatowskiego?

Takich postaci, choć nie tak świetnych, dzieje polskie liczą tysiące...

Niektóre z nich przedstawimy naszym czytelnikom, zastrzegając się, że nie będziemy trzymać się porządku chronologicznego.

Największe miasto.

Świeżo ukazało się z druku sprawozdanie urzędu statystycznego Nowego Jorku z działalności za rok ubiegły, podające zarazem szczegółowe dane, dotyczące rozwoju miasta. Przyrost ludności w Nowym Jorku w roku 1912 wynosił średnio 17,000 głów miesięcznie, a w ciągu całego roku zaś doszedł do okrągłej liczby 200,000. Tą, tak niezwykle wysoką liczbą, w stosunku do wykazów statystycznych innych wielkich miast, tłumaczy się także niezwykły ruch budowlany stolicy Stanów Zjednoczonych. W ciągu każdego dnia, nie wyłączając niedziel, doprowadzone bywa w Nowym Jorku do końca 37 nowych budowli. W ciągu ostatnich lat dziesięciu, w pięciu dzielnicach miasta powstało nie mniej, niż 135,693 gmachów, których zbiorowe koszty budowy wynosiły 1,839,500,000 dolarów. Wartość nieruchomości w Nowym Jorku podaje urząd statystyczny na liczbę 7,861,898,890 dolarów, a liczba ta przewyższa realną wartość nieruchomości wszystkich

Stanów amerykańskich, położonych na zachód od rzeki Mississipi.

Olbrzymie sumy wydaje zarząd na oświetlenie. Rachunki gazowni za rok 1912 wynoszą 32 miljony dolarów, koszty oświetlenia elektrycznego 25 miljonów, każdej zaś doby wydają mieszkańcy Nowego Jorku na oświetlenie mieszkań prywatnych, biur, sklepów, zakładów przemysłowych średnio 157 tysięcy dolarów, co czyni roczną pozycję 57 miljonów dolarów.

O ruchu ludności podają wykazy statystyczne za rok 1912 dane następujące: co cztery minuty rodzi się w Nowym Jorku dziecko, co siedem minut ktoś umiera.

Co dziesięć minut zawierany bywa nowy związek małżeński. Ogólna liczba mieszkańców Nowego Jorku wynosi obecnie 5 miljonów 200 tysięcy. Odpowiednio do tego systematycznego i ciągłego przyrostu ludności rozwijają się środki komunikacji.

W granicach miasta i przedmieść posiada Nowy Jork obecnie 32 koleje elektryczne, 32 koleje parowe, towarzystwo omnibusów zaś przewiozło w 1912 roku 1,600 miljonów pasażerów. Jeszcze przed 10 laty przewożono przez East River do Long Island co godzinę 70 tysięcy pasażerów. Dziś i środki komunikacyjne i ruch pasażerski tak się zwiększyły, że ta sama liczba dochodzi wysokości 700 tysięcy, a więc pomnożyła się dziesięćkrotnie.

Nowy Jork jest także punktem centralnym życia handlowego i przemysłowego. City Nowego Jorku liczy nie mniej niż 26 tysięcy fabrykantów, a w zakresie przemysłu wytwórczego produkuje miasto rocznie towarów o wartości dwóch miljardów dolarów. Jest to dziesiąta część całej produkcji Stanów Zjednoczonych. W porównaniu z obliczeniami statystycznemi innych miast świata okazuje się, że w Nowym Jorku panuje obecnie największy ruch fabryczny. Na Nowy Jork przypada czwarta część całej produkcji księgarskiej i drukarskiej Stanów Zjednoczonych i połowa całej produkcji ubrań dla mężczyzn, kobiet i dzieci. Liczba robotników, zatrudnionych w Nowym Jorku, wynosiła w roku 1912 — 750,000 głów.

Na uwagę zasługuje fakt, który urząd statystyczny szczególniej podkreśla, że stosunek przyrostu ludności z roku na rok się zwiększa. Jeśliby tempo tego przyrostu pozostało ciągle takie same. Nowy Jork doszedłby w roku 1950 do 49-u miljonów mieszkańców.

Długi Nowego Jorku wynoszą obecnie 1,037,811,716 dolarów. Są większe, niż cały dług państwowy Stanów Zjednoczonych, a prawie tak wielkie, jak dług państwowy Niemiec.

KRONICZKA.

△ Rokowania o pokój przedstawicieli państw bałkańskich z Turkami w Londynie, uległy przerwie. Przyczyną tego jest przewrót, dokonany w Konstantynopolu przez młodoturków, to jest zwolenników reform.

Przyczyną tego było to, że rząd turecki, pod naciskiem Rosji, zgodził się oddać Adrjanopol Bułgarom. W czasie narad dywanu, to jest zgromadzenia narodowego, do gmachu wtargnęli młodoturcy, z sławnym bohaterem wojsk trypolitańskich, Enver bejem, na czele, i rozpędziwszy zgromadzonych, ogłosili nowy rząd. Dowódca wojsk tureckich, Nazim-pasza, któremu zarzucano nieudolność, padł zabity.

Ministerjum uległo zmianie, a Enver-bej został dowócą Konstantynopola. Zaręcza on, że nie ustąpi bułgarom ani jednej piędzi ziemi.

Nadmienić należy, że Enver-bej jest z pochodzenia polakiem, synem emigranta po smutnych wypadkach 1863 r. właściwie nazywa się Bomęcki.

△ W nocy, z dnia 25 go na 26-y Stycznia zawalił się świeżo wznoszony gmach Bibljoteki Publicznej w Warszawie. Ofiarami wypadku paoło 5 osób, mianowicie stróż miejscowy z rodziną.

△ W Krakowie zmarł ś. p. August Witkowski, profesor Wszechnicy Jagiellońskiej, na wydziale fizyki doświadczalnej.

Redaktor i wydawca: Marja Bujno-Arctowa. Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 7.